

Heca z tortem

Recenzenci sprzętu hi-fi to osoby w towarzystwie dość popularne. Każdy chce nas pytać, co trzeba zrobić, żeby jego telefon grał lepiej niż dotąd. Odnoszę wrażenie, że w latach największej popularności zegarków z melodyjkami takich dziwnych pytań nie zadawano.

Alek Rachwald

Te czasy mogą jednak wrócić, bo widziałem ostatnio telefon w kształcie zegarka. A skoro telefon, to „domowe centrum muzyczne” co najmniej, i ani się obejrzymy, a ulice będą pełne facetów ze słuchawkami podłączonymi do zegarków. Moda to straszna siła. Ale ja częściowo nie o tym.

Zdarzyło mi się ostatnio udzielać rady w kwestii doboru domowego systemu hi-fi i w czasie kilkusobowej dyskusji, prowadzonej oczywiście w internecie, zetknąłem się z mnóstwem stereotypów dotyczących audiofilów. Mimo że żaden z dyskutantów nie był chyba zainteresowany sprzętem hi-fi, to wszyscy znali opowieści dziwnej treści o kablach, złocie i wygrzewaniu. Powoływano się też (i to było dla mnie coś nowego) na jakąś, podobno świeżo wydaną, polską książkę o systemach hi-fi, w której (również podobno) było napisane, że wszystkie wzmacniacze brzmią tak samo i że to wynika z fizyki. Oczywiście, po bliższym przyduszeniu autora okazałoby się, że robi wyjątki (na przykład dla wzmacniaczy „źle zaprojektowanych”, do których niektórzy z marszu zaliczają wzmacniacze lampowe, jak leci). Możliwe, że wzmacniacze cyfrowe lub semi-cyfrowe również okazałyby się tymi „innymi”, a potem to już droga wolna, można dzielić wzmacniacz na czworo, bo są jeszcze tranzystory i scalaki. Na marginesie, nic nie grało tak mułowato, jak mój stary Technics z serii 900 na układzie scalonym.

Nie wiem, czy taka książka rzeczywiście istnieje, a już zwłaszcza nie wiem, czy autor napisał tam, że każdy wzmacniacz gra tak samo, znaczy: w ogóle nie „gra”,

tylko wzmacnia. Jak „druć ze wzmocnieniem” Pera Abrahamsena. Zresztą, padły konkretne argumenty. Dowiedziałem się mianowicie, że ponieważ wzmacniacz służy do wzmocnienia sygnału, a nie do jego kształtowania, to sygnał wychodzi z niego taki sam, tylko mocniejszy.

*To dokładnie tak, jak z tortem
mojej babci, makowym zresztą.
Babcia robiła tort rewelacyjny.
Brała przepis, czyli ten,
powiedzmy, sygnał,
przepuszczała go przez swoje
wnętrzości
(przepraszam Państwa)
i wychodziło jej coś wspaniałego
w smaku i imponującego
w wyglądzie.*

Po czym do akcji wkracza Wzmacniacz Tortów innej firmy, czyli niżej podpisany. Biorę przepis, przepuszczam go przez siebie (czyli przez mój układ wzmacniający) i wychodzi zakalec. Za każdym razem, co świadczy o tym, że jako Wzmacniacz Tortów zostałem zaprojektowany starannie, tyle tylko, że gorzej niż babcia.

Możliwe też, że zrobiono mnie z gorznych podzespołów. Oczywiście, ktoś może lubić zakalec. Z jego punktu widzenia byłbym wzmacniaczem niezłym, tylko posiadającym coś, co my audiofile nazywamy „własnym charakterem”. W tym przypadku – zakalcowatym. Trochę jak mój stary Technics, który też grał zakalcowato, ale miał wielu zwolenników.

Prawdę mówiąc, myślałem, że gadałbym w rodzaju: „cyfra to cyfra i dlatego gramofon to jeszcze jak-cię-mogę, ale już

każdy odtwarzacz CD to musi grać tak samo, bo tak stanowi fizyka”, mamy już dawno za sobą. W przypadku tej teorii (podobno popularnej na wydziałach reżyserii dźwięku) zawsze mnie ciekawiło, po co w takim razie, u licha, przez lata doskonalono przetworniki i czy – zdaniem autora tej złotej myśli – odtwarzacze na DAC-u z 1980 roku i na takim z 2015 też muszą grać tak samo, oraz: co na to fizyka? O tym, że wspomniana teoria nie uwzględnia faktu, że odtwarzacz składa się też z filtrów oraz z całkiem konkretnego, paskudnie analogowego stopnia wyjściowego, przez litość nie warto wspominać.

Te teorie biorą się, w gruncie rzeczy, z chłopskiego rozumienia budowy sprzętu hi-fi. Ten rodzaj pojmowania, zwany też zdrowym rozsądkiem albo: „mówię, jak jest”, za fizykę ma to, co widzą zmysły. A zmysły widzą ruch. Co się rusza w sprzęcie hi-fi? Przede wszystkim ruszają się membrany głośników i zapewne dlatego panuje przekonanie, że kolumny głośnikowe, owszem, mogą brzmieć różnie. Rusza się też gramofon, w tym igła we wkładce. Dlatego zapewne gramofon uważany jest również za źródło pasujące do chłopskiej logiki i różnić się ma prawo. Bo jak coś się rusza, to może się omsknąć. Natomiast cała reszta podlega chyba zasadzie czarnej skrzynki, do której z jednej strony wchodzi sygnał, a z drugiej, psiej-sko-czarodziejsko, wychodzi, a w środku – czary albo lity blok metalu. Stąd idealizowanie wzmocnienia czy też konwersji cyfrowo-analogowej.

Swoją drogą, istnieje pozornie logiczny argument, że głośniki i gramofony mają prawo różnić się brzmieniowo, bo w nich zachodzi konwersja z oddziaływań elektrycznych na mechaniczne, a w tak brutalnym procesie coś może pójść tak albo inaczej. Byłbym skłonny uznać tę logikę, gdyby nie to, że jej głosiciele nie uznają równie brzemiennej w skutki konwersji c/a w źródłach cyfrowych. Ba, uznają tę logikę, ale rozciągają ją również na procesy niewidoczne gołym okiem, bo odbywające się za pośrednictwem ruchu elektronów. W bakterie też kiedyś nie wierzono i tłumaczono tę niewiarę bardzo logicznie.

Kiedyś napisałem felieton o przesądach w branży audiofilskiej. Przesąd to mocne przekonanie, które dałoby się nawet łatwo zweryfikować empirycznie, ale się tego nie robi. Widzę, że przesady nadal trzymają się mocno. Nie wiem jeszcze, co na to fizyka.